

KALECY

WIKTOR HAJDENRAJCH

KALECY

Wydanie pierwsze

HOID.pl
2021

KAJECY

Autor: Wiktor Hajdenrajch

Redakcja: Izabela Zgrzywa

Korekta: Wydawnictwo Horyzont Idei

Projekt okładki, projekt książki, skład: HOID.PL

© Wiktor Hajdenrajch, Wydawnictwo Horyzont Idei, Mosty – Toruń (2021)

ISBN 978-83-65185-18-1

Wydawnictwo Horyzont Idei - Polskie Wydawnictwa Niezależne

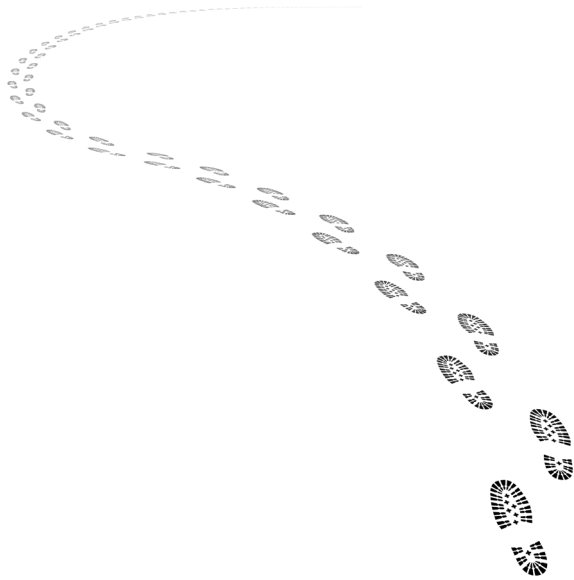
www.hoid.pl

www.sklep.hoid.pl

tel.: (+48) 723 761 373

e-mail: kontakt@hoid.pl

87-100 Toruń



KAJĘCY

spis treści:

IN DOMINUM VIA TUA

INTRODUCTIO	...11
List Dobrodzieja do Jego Ekscelencji	...33
Pierwszy list Biskupa do Dobrodzieja	...37
Droga donikąd	...39
Drugi list Biskupa do Dobrodzieja	...43
Powrót	...47
I znów przed siebie	...63
Trzeci list Biskupa do Dobrodzieja	...79
List Proboszcza do Biskupa Ordynariusza	...83
List Młynarza do Biskupa Pomocniczego	...89
Kazanie Ordynariusza wygłoszone z okazji 36 niedzieli zwykłej	...97

ULICA IMIENIEM

INTRODUCTIO	...105
Rada	...129
Bachor	...133
Kandydat. Kandydatka. Kasia.	...141
Burmistrz. Urząd.	...177
Magda	...185
Alicja	...191
Ulica imieniem	...203
Postludium	...231

KALEKA	...235
BYZNESMENI	
INTRODUCTIO	...251
Bolerko znalezione pod autem	...263
Stones and Tombs	...275
Telewizja	...285
Sklep we wsi	...289
Sponsorzy i konsumenci	...293
Koncert	...305
„Biznesłumen” i Stones and Tombs	...317
Rozmowa w krzakach	...321
Telefon	...327
Już czas iść	...331



INTRODUCTIO

ZŁOŚLIWOŚĆ... Nie, nie złośliwość! Fatum. Ananke. Kismet. Los. Jak nazwać powtarzalność tego, co chciałoby się raz na zawsze zamknąć, by o tym zapomnieć? Mądrzy ludzie mówią, że nie ma czegoś takiego jak przeznaczenie – jest przypadek, krzywa dzwonowa Gaussa, podstawowy obiekt badawczy w równaniu Schrödingera, funkcja falowa wszystkiego – ale ja w to nie wierzę. Nie wierzę również w determinizm, że wszystko jest tam gdzieś zapisane, a ja bezwolnie, wbity w koleiny, wlokący się jak wóz drabiniasty na piaszczystej polnej drodze ciągnięty przez jedną chudą szkapę, przesuwam się z zadanego punktu A do punktu B z prędkością V , co natychmiast wywołuje u czytającego obrzydzenie i niechęć, że dwa pociągi jadą naprzeciwko siebie, że dwa baseny napełniają się wodą, że z równi pochyłej stacza się kulka. Nie, nie będzie to o fizyce, nie lękajcie się (ktoś tak kiedyś powiedział w telewizji), to będzie o...

In Dominum via tua!

PIASZCZYSTA WIEJSKA DROGA, lekko tylko utwardzona zebranymi z pól kocimi łbami, zaraz za mostem, przy rozstajnym krzyżu, nagle stawała się trójcą, jedną w trzech odnogach. Wszystkie wozy jechały w prawo, okute i ogumione. Na każdym smętnie stał jeden czy dwa worki wydartego pazurami z piaszczystych pól żyta, dwa nieracjonalne dowody, że tam też dawało się przeżyć, dowody jasne i niepodważalne, dowody zwycięstwa ludzkiego uporu nad racjonalizmem, bliżej nieokreślonej miłości do kilku piaszczystych morg, bo przeca to łojcowizna, a łojcowizny nie porzucę, bo co ludzie we wsi powiedzą? Nie porzucę wiejskiego smentorza, gdzie łojce leżom, dziady leżom, a i drobiazgu kilkoro też! Nie porzucę, bo jak przeżyję przednówek, jak dotrвам do pierwszej lebiody i jakiegoś innego zielska, to baba ugotują, to już żyć będziem, już dzień za nami, jeszcze jeden, kolejny, już bliżej wiosny, za chwilę mleko będzie, a jak będzie mleko, to już kolejny rok przetrwamy, obsiejemy, obsadzimy, może tego roku zbiory wreszcie będą dobre, bogate, wtedy wystarczy dla nas, dla zwierząt, dla wszystkich.

Nadzieja co roku ta sama! Rzeczywistość to ubożuchna ziemia, która zawsze dawała słaby plon, z trudnością wystarczało do przednówka. Nie każdy tak chciał, wielu wyjechało za chlebem, wytrzymali tylko najsilniejsi. Pozostali najbardziej zdeterminowani, tacy tam siedzieli! Nowych nie było, nie przyjeżdżali, a jeśli już – to uciekali po kilku dniach. W niedalekim miasteczku jakaś robota zawsze się znalazła, nikt już nie chciał umierać z wydętym brzuchem, pustym jak kościelny dzwon, jak przewracające się w chlewie wiadro z urwanym uchem, wyjąc straszliwie z bólu. Ze wszystkich śmierci ta z głodu jest najstraszniejsza!

Droga, która biegła prosto, prowadziła pod niewielką górkę, gdzie w osuwisku leżał żwir, jak złoto, jak drogocenne kamienie, czyściutki, nadający się do budowy. Kto by tam jednak budował, nie było za co, ale miło było pomyśleć, że takie bogactwo leży sobie na skraju wioski, na rozstajach, tam, gdzie krzyż, pod którym pokazała się Święta Maryja (tak przynajmniej utrzymywał kowal). Tamtego dnia wracał od młynarza, litra zrobili, a może i więcej. Młynarzowa zupy szczawiowej nagotowała, dobrej zupy, na prawdziwym mięsie, więc siedzieli w kuchni, w rękach dzierżyli szklanki, dobre szklanki, porządne, takie grube, co jak praśniesz o drewnianą podłogę, to się nie rozbije, nawet o polepę jak praśniesz to ino smugę zostawi, odłupie kawałek, ale się nie stłucze. Denerwowało go strasznie, że ciągle musiał odgarniać drobinę laku, co mu do środka z płynem wlał młynarz. Lak może i nieszkodliwy, ale ciśnienie podnosił, słowa ciężkie na usta wyprowadzał, a wyleźć ze szklanki nie chciał. Zakręcony wirem, wywołanym energicznym szarpnięciem naczynia, przylepiał się do ścianek i nijak nie można go było spędzić, wypić się nie dał, mimo, że kowal był już gotów to zrobić. Uparty lak zawsze zostawał na samym dnie, na brzegu między poziomem płynu a szklanym opakowaniem, przewracał się tam, przesuwiał, kolejne ciężkie słowa padały z ust kowala, kolejne złorzeczenia, nic. W końcu ów poddał się:

- A niech sobie tam leży, niech sobie tam pstryzy swoimi drobinkami gładkie ściany szklanki, jak mucha szybę w młynarskiej kuchni, jak mysie bobki na zasłanej mąką podłodze młyna. Przeca nic

KAJECY

nie zrobi, przeca co najwyżej wleci do gardła, tchawicy, zakrztusi, to się go wypluje, a jak nie zakrztusi, to się połknie, wielkie mecyeje.

Młynarzowa im mięsa nakroiła, chleba, słoninę w paskach położyła, ogórki, cebulę, jak paniska jakie pili, jak w karczmie u Żyda, tylko karczmy już nie było, gdzie się Żydzisko zapodziało w czasie wojennym, nie wróciło, rodzina też wieś opuściła, w ciężarówce SS, na zatracenie ich wywieźli. Ich dom, do dziś stojący w pięknym miejscu, na środku wsi, koło kościoła i zbiegu dróg, niedaleko straży pożarnej, w połowie drogi pomiędzy młynem a kuźnią, już prawie się zawalił. Belki przegniły, gonty przegniły, drzwi jeszcze trzymały walącą się powalę, ale kilka dni temu przyszedł wichur i dokończył, czego codzienność nie śmiała skończyć. Powalił dom-karczmę potężnym pchnięciem jak rzeźnik, który uderzeniem siekiery ogłusza i jednym sztychem noża kłuje cielaka, byczka, miesiąc wcześniej przywołanego na świat, odkarmionego i odchuchanego w domu pod pierzyną, bo słabowity był, jakoś tak niemrawo dychał, na nogi wstać nie chciał i do którego zdążyli się przywiązać, polubić nawet, do jego oczu, wielkich, ciemnych, z długimi rzęsami, do wilgotnego pyska, do tego, że gdy gospodarze szli spać, kładł się obok nich na podłodze, jak kot jaki i zasypiał, posapując ciężko i napełniając izbę spokojem i ciemnością, ćmą nocy. Nie było dla niego miejsca. Krowa, jeśli żre, musi dawać mleko, każdy ma swoją rolę na tej ziemi...

Poszła jedna butelka, prawdziwa, z czerwoną kartką, poszła druga butelka, bo kowal nie gorszy, cudzego nie pije, ma swój honor, jeśli już wypije, to drugą stawia.

Załatwili, co mieli załatwić, dogadali się, ręce przybili, on w bojach zaprawiony, mocny w rękach, boć kowal przecie, mocny w głowie, co mu tam pół litra w siebie wlać, to tylko po zębach się rozeszło, kawałek słoniny jeszcze na ciemnym chlebie położył, przegryzł, ogórka kiszonego w palce chwycił, zakąsił, pochwalił, bo rzeczywiście słonina była jak nie z tej ziemi, gładka, lśniąca, pachniała czosnkiem i papryką, była słona, ale nie za słona, była jedwabista, ale nie rozlewała się, dawała lekki opór, trzeszcząc pod zębami (oj, umiała młynarzowa gotować, może nie tak jak jego Helka, ale też smacznie!). Resztkę ze szklanki

wysuszył, drobinki laku osiadły na dnie, były jak ziarnka maku na bułce, co ją gospodyni księdza dobrodzieja piekła. Odstawił szklankę, miał ochotę prasnąć nią o ziemię, ale nagle ochota odeszła, odsunął ciężki dębowy stółek, wytarł usta rękawem, raz jeszcze pochwalił gospodynię, rzecz tam przecież zupełnie nieznaną, chwycił za klamkę, rzucił sakramentalne „z Bogiem” i wyszedł na dwór, gdzie dookoła stał już wiosenny wieczór.

Ze stawu, spiętrzonego stawidłami, które dawały siłę kołu młyńskiemu, ciągnęło chłodem, młyn nie pracował – nie było dziś nikogo, kto chciałby swoje dwa worki żyta przepuścić przez kamienie młyńskie i długo jeszcze nie będzie. Wszystko, co pozostało, pójdzie w glebę, w te piaski, w tę beznadziejnie jałową jak łono starej, wysuszonej, bezdzietnej Antoniukowej glebę, na której nic poza kartoflami, owsem i żytem rosnąć nie chciało. Przy dobrym roku zbiorą tyle, że wystarczy do przednówka, przy gorszym w połowie zimy nie będzie już czego mleć...

Założył czapkę, naciągnął ją na oczy, pozwolił swoim nogom nieść się do domu, ale po dwóch krokach obrócił się – obiecał Dobrodziejowi postawić ogrodzenie przy rozstajnym krzyżu – dobre ogrodzenie, kute, ze stali – poczerni je, pozwoli olejowi się wypalić i nie będzie to rdzewieć. Zrobi je z prętów, których ostatnio sporo się koło kuźni znalazło. Wystarczy na ogrodzenie i wystarczy na bramkę, którą osadzi na dwóch zawiasach i nasmaruje, by nie pizzczała. Odległość trzeba wymierzyć krokami, by dokładnie zaplanować liczbę słupków i długość łączników. Siedem kroków długie wystarczy, co krok trza słupek, też wystarczy, a może osiem kroków i co pół kroku słupek? Osiem kroków to trzydzieści słupków, stali zabraknie, trzeba na siedem zrobić, też będzie dobrze... Krzyż wielki, jak w kościele, ten za ołtarzem, ze Zbawicielem przybitym gwoździami, jeszcze mój ojciec robił te gwoździe, tak, siedem kroków: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, dobrze będzie, akuratnie, galanto.

Ona stała pod tym krzyżem. Widział ją tak dokładnie, jak wycinając się z wieczornej szarówki, już prawie czerni, wymalowaną na biało ścianę domu młynarza z wielkim napisem „Młyn”. Mógł ją dotknąć, uchwycić za szatę, ale nie śmiał, nie umiał zrobić ruchu, a ona

uśmiechnęła się do niego smutno, ciepło, jak matula kiedyś, gdy jeszcze żyła. Powiedziała tylko: *In Dominum via tua! Gloria in excelsis Deo!* – zrozumiał, co mówiła, przeca był w dzieciństwie ministrantem. Nie zdążył paść na kolana, gdy Najświętsza Maryja rozpląnęła się cicho i bezszumnie, jak się pojawia. Nie skończył wymierzać ogrodzenia, odszedł najpierw wolno, a w miarę jak oddalał się od krzyża coraz szybciej i szybciej, w końcu puścił się biegiem. Było trudno, gumofilce uwierały, krzywa stopa przeszkadzała, kufajka uwierała, wciągnięta na uszy czapka gryzła do krwi, ale on nie zważał, wpadł w końcu na plebanię z krzykiem:

- Dobrodzieju! Proboszczu! Przy krzyżu objawiła mi się (tak chyba powiedział, takie właśnie słowa chyba usłyszał kiedyś od księdza, w czasie mszy, a może w czasie, gdy chodzili po kolędzie od domu do domu, kto by to pamiętał?) Najświętsza Panienska! – ale nikt mu nie odpowiedział. Proboszcz akurat był z wizytą u biskupa, słabo szło zbieranie datków na coniedzielną tacę, wikary już spał, a gospodyni kazała mu się wynosić, rzucając za nim ciężkie słowa:
- Pijanica! Życie przepijesz! Już ci się rozum od tej wody miesza! Takim jak ty Najświętsza Panienska nigdy się nie pokaże, wstyd to byłby dla Niej. Ona tu, w Kościele Świętym, się nie objawia, a miałaaby tobie? Do domu wracaj, pijaku, do Helki, która tam na ciebie pewnie znów czeka, ostatnia, jedna, bo nawet twoje dzieci już cię znać nie chcą, do ciebie przyjeżdżać nie chcą! Do kościoła nachlanym nie wstyd ci chodzić, ochlajmordo?

Ale on nigdy do kościoła pijany nie przychodził. W niedzielę budził się pierwszy, odśpiewał pod nosem „Kiedy ranne wstają zorze” i „Godzinki”, potem budził Helkę, ona rozpałała ogień pod płytą w kuchni i obok kartofli dla świń nastawiała wielki sagan wody. On przynosił z sieni balię, stawiał ją na środku kuchni, do balii nalewał wody, zimnej, prosto ze studni, ona dolewała ukropu. Czasem syknął, jak polała go po plecach czy rękę, ale siedział i czekał, aż ona skończy, po czym mył się dokładnie, wszędzie, nie żałował szarego mydła, gęste, ciemne włosy bez odrobiny siwizny mył nawet dwa razy, starannie splukiwał. Przygotowaną, naostrzoną i wyciągniętą na skórzanym pasku brzytwą

dokładnie i powoli golił twarz, aż była nienagannie gładka. Musiał to kilka razy sprawdzić palcem, najdłużej kontrolował miejsce pod nosem i kanty na podbródku.

Zadowolony, nagi, jak go Pan Bóg stworzył, kuśtykając na prawą, krótszą i podwinętą nogę, przechodził do komory, gdzie wdziewał koszulę i kalesony, świeże, białe, co mu Helka zdążyła wyprać, wykrochmalić i wymaglować (bardzo tego wymagał, sprać za to potrafił). Z kufra wyjmował odświętne ubranie, oglądał, trzepał nim kilka razy, by się dobrze ułożyło, wyciągał bagno z kieszeni spodni, z rękawa marynarki, pieczołowicie zawijał w papier i wkładał do kufra. Trudno było je zdobyć, niejeden już nigdy nie wrócił z trzęsawisk. Sięgając ręką po roślinkę czynił jeden nierozważny krok, nawet nie nierozważny, taki troszeczkę nierozważny, nierozważniutki, i wtedy rozwierała się gardziel i wypełniająca ją czarna, gęsta maź wciągała go powoli, jakby chcąc mu zadać jak najwięcej strachu, bólu, cierpienia za wszystkie grzechy, przewiny i draństwa, których dopuścił się tu, na Ziemi, by wreszcie dostać się do ust i zakleić je na wieki wieków, Amen! Wkładał powoli spodnie, z namysłem, starannie zapinając guzik po guziku i prostując dłonią fałdy, dokładnie układał koszulę pod paskiem, mocno ściągał stalową klamrę, potem wkładał marynarkę, wyciągał z innego kufra odświętne buty, natłuszczał i nabłyszczwał kawałkiem świńskiej skóry, aż świeciły jak lakierki, które kiedyś widział u Proboszcza na plebanii.

Oglądał je najpierw, zadowolony z efektu, większy dłużej, drugi na szpotawą stopę i mniejszy – krócej. Oba były czarne, oba robione na miarę, gdy jeszcze nie pił tyle, gdy pieniędzy miał, co żaden we wsi, gdy kolejkę na okucie wozu trzeba było sobie u niego zamawiać na trzy lata wprzód, bo nikt tak jak on tego nie zrobił. A grymasił wtedy, a narzekał, a targował się, a wyrzucał ich razem z gotowymi już kawałkami kołodziejskiej sztuki, ale oni pokornie czekali i płacili tyle, ile on chciał, taki wóz to skarb, taki wóz więcej wart jak dobra mleczna krowa. Grymasił, narzekał, wyrzekał, czasem zwyzywał – a oni i tak przyjeżdżali z nie samymi tylko pieniędzmi, ale też i wódką, dobrą, z czerwoną kartką, zalakowaną.

KAJECY

Lubił wódkę, lubił towarzystwo, lubił śpiewać, grał na harmonii, wszyscy to wiedzieli. Zawsze pili razem, wtedy przepraszał, bo w sumie dobry był z niego chłop, oni wyciągali kolejną butelkę, on do akompaniamentu na rozwalonym, niemiłosiernie fałszującym Weltmeistrze pełnym mocnym barytonem śpiewał piosenki ludowe i patriotyczne, a znał ich bez liku. Taki rytuał – po tej drugiej butelce rozpijali trzecią, zagryzali słoniną i chlebem, czasem zapijali piwem i w końcu oni odjeżdżali nowym wozem, w akompaniamencie polki, a on zanosił swój instrument na poddasze kuźni, wyłączał jeszcze dmuchawę, rozgarniał żar i tak, jak stał, walił się w kąt, na rzucony tam worek wypchany grochową, i zasypiał. Budziła go Helka, by zabrać do domu, stojącego przecież o dwadzieścia sześć i pół jego chromego, arytmicznego kroku. Zawsze pokornie włókł się za nią idącą energicznie, miarowo, nawet nie mamrotał przekleństw pod nosem, szedł zgaszony, przybity, ściskając w ręku gotówkę, którą dziś zarobił. W drzwiach chwycił Helkę w pól i wciskał jej do ręki wszystkie pieniądze z przykazaniem: „Tylko dobrze pilnuj!”

Zdarzało się to najpierw mniej więcej co dwa tygodnie, później znacznie częściej, wtedy, gdy przez czas jakiś miał pomocnika, łebskiego chłopaka, robotnego, zdolnego, któremu praca paliła się w rękach, młotem obracał jak ksiądz kropidłem, a wycucie do żelaza miał, że hej! Wtedy on okuwał najtrudniejsze miejsca, osie i koła, a młody okuwał resztę: hołoble, orczyki, skręt, wtedy robota szła, że hej, jakby czart w nich jaki wstąpił, jakby koła młyńskie pędziły na największych obrotach, młąc żyto na cieniutką mąkę, drobną jak popiół z olchy. O, tak! Koła, to już była robota wymagająca i umiejętności, i doświadczenia, i wycucia! Wystarczyło, że za słabo rozgrzejesz obręcz i spróbujesz nabić, że zrobisz ją tylko trochę za krótką lub za długą, a całą robotę kołodziejską, tę w drewnie, trzeba będzie wyrzucić i zamawiać nowe. Gospodarze bardzo tego nie lubili, zawsze potracili z należytnej sumy, na szczęście zdarzyło się to tylko dwa razy, gdy był początkującym kowalem i nie sprawdził, co mu gospodarz zrzucił przed kuźnię. Co tydzień ktoś wtedy przyjeżdżał, gospodarz, ważny, pan na swoich morgach. Każdy tydzień przynosił pieniądze, sporo pieniędzy i dużo,

dużo wódki. On charakter miał słaby, nie to co pomocnik, który ani odrobiny do ust wziąć nie chciał, brał tylko pieniądze. Myślał nawet, czy nie wyrzucić pomocnika, bo co to za kowal, który nie pije, ale po dwóch latach tamten sam odszedł i w we wsi ze ścianami w talerze i lusterka otworzył własny interes, znacznie skracając kolejkę u niego. Część tych, co nie chciała już czekać, po prostu poszła tam. To nic, że tamten nie umiał porządnie okuć koła, w gospodarstwie liczy się wóz, a nie to, że ten wóz będzie za rok czy dwa lata. Ale przyzwyczajenie zostało, teraz już pił nie co dwa tygodnie, a co tydzień. Po kilku miesiącach zaczął pić codziennie, prócz niedzielnych poranków, gdy wymyty, ogolony, w czystym ubraniu, błyszczących butach, z książeczką do nabożeństwa w dłoni, w pierwszej, najważniejszej ławce kościoła śpiewał w głos wszystkie pieśni liturgii, często wyręczając księdza i organistę. W czasie tej godziny zapominał, że trzęsą mu się ręce, że organizm dopomina się swojej codziennej ilości wódki i nawet przez myśl mu nie przeszło, by choć kropelkę, choć korek powąchać. Pan Bóg by się na niego niemiłosiernie obraził i Pan Bóg przecież to docenił, wysyłając Ją do niego, prostego kowala z zapomnianej wsi.

On wiedział, co widział. Najświętsza Panienska nie pokazuje się ot tak sobie, ot tak, byle komu. Ona wisiała w powietrzu przy krzyżu, stojącym na rozstaju tamtych dróg: jedna z nich prowadziła do młynarskiego obejścia, druga, ta koło żwirowni, prowadziła do kolejnej wsi, większej jak ich, bogatszej. Tam nawet buraki i jęczmień się udawały, a więc i gospodarze byli bardziej zasobni, ich domy były okazalsze, pięknie lśniły w słońcu kawałki talerzy i lusterek wstawionych w tynk. Na ścianach wykwitły kwiaty, samochody, domy z dymiącym kominem, bocian na jednej nodze, w ogródkach kobiety miały kwiaty. Prócz ogórków, fasoli, buraków i kapusty rosły malwy, piwonie, mieczyki, stokrotki, dalej, jesienią chryzantemy, nagrobne kwiaty. Rzecz to u nich całkowicie niespotykana, na tych piaskach nie chciały rosnąć nawet malwy. Jedyne, co widywał, to chabry i maki w zbożu, chwasty. Może dlatego droga prowadząca do tamtej wsi była zarośnięta. Gdzieś niedługo wiosenne roztopy powymywały z niej wielkie kawały darni i w takich miejscach potworzyły się piaszczyste wąwozy, ale pomiędzy

nimi tylko koleiny, jakieś rachityczne, malutkie roślinki, przypominające seradelę i skrzyp – znaczy się kwaśny ten piasek, wapna wymagał, ale kto by tam wapno sypał na drogę, jest drogie, na pole trzeba je dawać. Szczaw znów się rozpanoszył, dobry jest, takiej zupy jak młynarzowa żadna we wsi nie gotuje, ale pola pod żyto potrzebne, chleb dla ludzi, pasza dla żywioły, lubią śrutę, pod kartofle dla ludzi, świnie dobrze na nich rosną, są tłuste, a jak są tłuste, to i rzeźnikowi łatwiej zapłacić, bo trochę gotówką weźmie, a resztę w słoninie. Zabić zwierzaka kowal nie umiał, a drogi i tak prawie nikt nie używa.

Trzecia droga prowadziła na pola, jego, młynarza, Dobrodzieja, sklepikarza, na nieuprawiane pola Żyda – karczmarza, od lat nieruszane pługiem, od lat nieodkwaszane, nienawożone, zdziczało. Ta droga szła najpierw przez środek niewielkiego lasu, sosnowego, grzyby były, jagody, baby zbierały, który jakaś straszna siła na wysokości młynarszowego pola nagle odcięła i pozostawiła tylko część po prawej stronie drogi, a w zasadzie wyżłobionych kołami ledwie widocznych kolein, które powinny kończyć się na dalszym brzegu pola kowala, ostatecznie w szeregu, ale się nie kończyły. Wydeptane obręczami żelaźniaków dwie wąskie rynny, rozmywające się we wszechpanoszącej się tu zieleni roślin, pamiętające jeszcze czasy wojenne, biegły dalej, dokąd – kowal nie wiedział. Wiedział tylko, że każdy, kto chciał sprawdzić, gdzie jest kres tej drogi zwracał po paru kilometrach i wjeżdżając do wsi kwitował krótko: Tam nic nie ma.

Następnego dnia poszedł jednak raz jeszcze do Proboszcza. Nie było go w kościele, zamkniętym na głucho, nie było w ogrodzie, gdzie często go widział, siedzącego w fotelu i czytającego jakąś książkę, nie było również na plebanii, skąd gospodyni wyгнаła go, krzycząc, że bezczęści święte miejsce i zły przykład daje. Wracając do kuźni ujrzał Dobrodzieja, idącego od strony cmentarza, w ornacie i albie bez stuły, który, gdy go ujrzał – pokiwał nań ręką. Ruszył szybkim krokiem, ale po chwili zwolnił, zdążyć, pomyślał. Dobrodziej, gdy już pozwolił się ucałować w rękę nagabnął go o wczorajsze larum na plebanii, pochwalił za pracę nad ogrodzeniem, ale zbeształ za opowiadanie bajek o Najświętszej Paniencie. Jednak, gdy zapytał z przekąsem, co Ona mu tam

takiego powiedziała a on odpowiedział: *In Dominum via tua! Gloria in excelsis Deo!* – zapytał go wtedy Dobrodziej, czy rozumie, co Ona mówi, a on na to, że przecież sam Dobrodziej go tego nauczył, gdy pacholęciem był, ministrantem, w komeżce białej dookoła ołtarza biegał: „W Panu droga twoja! Chwała na wysokości Bogu!” – rzekł z namaszczaniem, patrząc z oddaniem spod swych krzaczastych brwi małymi, bystrymi oczkami na Dobrodzieja a może i przez niego, kto to wie?

- I nic więcej?
- Nic.
- Ile, synu, wypiliście wczoraj?
- Trochę, proszę Dobrodzieja – tu znów pocałował go w rękę – młynarz świadkiem, trzeźwy wychodziłem od niego.
- Jeśli mówisz, żeś był trzeźwy... – podrapał się Dobrodziej po gładko ogolonym podbródku w namyśle. – Dobrze, dziś pójdziemy raz jeszcze, może znów się pojawi – rzekł po długim namyśle, bo barował się mocno ze sobą, dziś akurat z kartami czeka na niego inny ksiądz, w miasteczku, dziekan, biskupa wielki przyjaciel, co niejednemu już drogę do tłustej parafii a może i infuły, a może i pierścienia biskupiego otworzył.
- Pójdziemy – rozpromienił się kowal – razem z Dobrodziejem.
- Tylko pamiętaj, masz być trzeźwy, Najświętsza Paniienka nad grzesznikami wielką opiekę sprawuje, to niezaprzeczalne – głos nieco uniósł, spiżowych nut dołożył – ale szczególnie nie lubi pijaków, co do kościoła nie chodzą, grosza na kościół skąpią, bo przepijają. Pamiętaj! – w ton jeszcze mocniejszy uderzył, zrobił znak krzyża i znów podstawił rękę do ucałowania.

Ciemno już było, gdy idąc przez całą wieś i nikłe zainteresowanie budząc, dotarli do krzyża na rozstajach, tego, gdzie już trzy drogi: Do młynarza, do wsi bogatej i ta trzecia, o której tyle tylko wiadomo było, że w wojnę tamtędy rodzinę karczmarza – Żydziska wywieźli, na samochodzie z plandeką, pod karabinami. Siedzieli ludziska na ławach

na pace, w chusty i czapki zakutane, bo późna już jesień była, zimna, mokra, siąpiło, wiatr przenikliwy wiał, zrywał jeszcze resztki liści z drzew i krzaki leszczyny, bogato wtedy po obu stronach duktu rosnące, do ziemi przyginał, ale rady im nie dał, mocne były. Patrzyli ludziska ze strachem w oczach, przerażającym strachem, na uciekającą drogę, jakby wiedzieli, czuli, że już tu nie wrócą, jakby przeczuwali, że następny przystanek to już komora gazowa i prosta droga do Nieba, tej Ziemi Obiecanej, a w niej Jahwe, Mojżesz i wszyscy, którzy odeszli ale są, tam są, czekają, czasem w snach się pojawiają, czasem na smentorzu jakaś mgiełka, dymek nieledwie zza krzyża wychynie, przez chwilę postoi, jakby patrzył na krzątających się przy miejscu wiecznego spoczynku, macewy myjąc czystą wodą, przyniesioną ze strumyka, a niedaleko tam, może kroków ze sto a może i mniej, płynącego, wycierając je do czysta suchej słomy wiechciem i kładąc kamień nieduży na brzegu.

Pamiętali o nich, jedni o drugich, ci, co jeszcze Tu i ci co już Tam, przy okazji świeczkę zapalono na grobie obok - zapomnianym, z ziemią już prawie zrównanym, gdzie nawet krzyża już nie było, spróchniał jak lokator, którego naznaczał, w proch się obrócił, zrównał z ziemią, zniknął, wrócił do niej, ale oni wiedzieli: tam Antoniuka szczątki, męża Antoniukowej, suchej, jałowej, co na skraju mieszka i od jego śmierci z domu nie wyszła, czeka aż wróci, aż wyjdzie spod ziemi i stanie w drzwiach w ślubnym garniturze, w który ledwo go wcisnęła do trumny kładąc, tak był spuchnięty po trzech dniach leżenia między tatarakami w stawie, tym obok młyna, brudny, obsypany ziemią, nawet i przegniły ale swój, mój – na znak, że my wszyscy równi po śmierci i że o wszystkich pamiętać trzeba, bo my Tu, na Tej stronie, żyli razem, pili razem, rodzili się razem i razem umierali. Coraz mniejsze robiły się zabudowania, coraz dalej na horyzoncie kładła się droga, dukt, w końcu tylko już ścianę z napisem *Mühle – Młyn* było tylko widać, a i po chwili i ona zniknęła, rozplynęła się w jesiennej mgle, w war-kocie motoru, w wrzaskliwych, szczekliwych głosach siedzących między nimi młodych, może osiemnastoletnich chłopców w mundurach Wehrmachtu, z automatami gotowymi, by strzelać.

Stanęli pod krzyżem, kowal raz jeszcze dla porządku wymierzył siedem kroków wzdłuż i siedem w poprzek, kiwnął głową, że pasuje, że ogrodzenie będzie galanto. Dobrodziej, trzymając ręce obie w mufce, bo ten wieczór jakiś zimny był i przytupując nogami stał i rozglądał się na boki, trochę z ciekawością, trochę trwożliwie, niewzyczajny on Panienkę Najświętszą osobiście oglądać, na obrazach – tak, nawet kilka takowych miał w kościele, na rzeźbach – też, owszem, wszędzie była, w każdym domu była, w kapliczkach, pasyjkach a i na smentorzu co bogatsi, zamożniejsi, katoliki prawdziwe, postawili swoim zmarłym wielkie figury Maryi, młynarz nawet w szklanym pudle zamknął, żeby wiatr i deszcz cennej farby nie zmyły, nie zohydziły, nie spostonowały, nie zdesakralizowały Najświętszej z Matek, Tej co nam Pana Naszego i Zbawiciela porodziła, ale żeby osobiście, to nie. Ale on wiedział, że jest tutaj, na tej wsi namiestnikiem Boga, dzięki nadanemu mu przez biskupa prawu i prawie jest jej równy, no może trochę mniej, ale tylko trochę, więc nie musiał się bać, a więc niczego się nie bał, porozmawia z nią jak równy z równym.

Ciemno już było całkowicie, świat przykrył się czarnym całunem, spod którego gdzieniegdzie błyskały nieliczne dziś gwiazdy i światła wsi, leżącej tam gdzieś, daleko, w tej czerni wydawało się, że gdzieś w nieskończoności, gdzieś pod bramami piekieł. Błyskały wtedy one, czasem jaśniej, czasem prawie w ogóle, gdy Ona przyszła. Pojawiła się nagle, jakby ktoś pokrywkę z sagana zdjął i kłęb pary, zduszony wcześniej między powierzchnią gotującej się wody a deklek, zbity w ciasną, ciężką, ale puchatą kulę wyskoczył i eksplodował, wypełniając kuchnię jak wata kołdrę, co ją Helka wczoraj przesywała. Zawisła z głową na wysokości belki krzyża, jakby Syna Swego raz jeszcze chciała zobaczyć, w oczy mu zajrzeć, nieżywe, mętne, na wpół przymknięte, uniosła Rękę swą do góry i powiedziała: *In Dominum via tua! Exultate Deo!*

- *Gloria in Excelsis Deo* – machinalnie poprawił Dobrodziej, do góry unosząc monstrancję, którą szybko z torby podręcznej wydobyl i przez stułę uchwycił.

KAJECY

- *Exultate Deo, adiutori nostro!* – łagodnie acz stanowczo powiedziała, kierując twarz Swą do kowala, ignorując jednocześnie jego, przecież Jej równego.
- Pamiętaj! – dodała już po polsku – *In Dominum via tua!* Posłanie twe wypełnij! – rękę z mgły utkaną na głowie kowalowej położyła, druga w górę uniosła, palcem wskazując na niewidoczne, czarne niebo, gdzie nieśmiało zaczynało się przejaśniać, księżyc chyba powoli zza chmur wychodził – *In Dominum via tua!* – powtórzyła – *Via tua!* – raz jeszcze podkreśliła, powoli przesunęła palec swój z Nieba na drogę, co na pola wiodła, chwilkę tak trwała, w bezruchu, zawieszona, z uśmiechem matczynym na ustach, przeniosła drugą rękę, co ją na głowie kowala cały czas trzymała do tej pierwszej, zbiegły się jej dłonie, raz jeszcze tamten kierunek wskazały, po czym znikła, żegnana osłupieniem klęczącego kowala i szybkoimi, nerwowymi znakami krzyża przez Dobrodzieja monstrancją czynionymi, wielokrotnie, z zapalem i oddaniem a jednocześnie z zawiścią straszną, że nie z nim, a z prostym pijanicą Ona rozmawiała. Nie z nim, bożym namiestnikiem na tej wsi, a z kowalem, prostakiem. Kuternogą i prostakiem!
- *Nuntium Magna* ci przekazała, Pani Nasza! – rzekł do kowala, gdy już w kierunku domostw zmierzali – Ja myślę – powiedział, stawiając ostrożnie krok za krokiem po kocich łbach głównej drogi wiejskiej – że owo *Nuntium* w ostatnim geście się zawiera.
- Nie rozumiem tu nic a nic – rzekł cicho kowal, ciągnąc się za Dobrodziejem, chromą stopę grubym kosturem wspierając – *Nuntium* nie rozumiem, bożego słowa nie rozumiem, ale wypełnię. Do końca Je wypełnię.
- Niczego na razie nie wypełnisz. Ja muszę objawienie Pani Naszej biskupowi zgłosić, on decyzyję podejmie, co robić. My tu za mali jesteśmy, to wszystko tylko namiestnik boży Biskup z samym Panem Bogiem załatwić muszą.

Spał tej nocy kowal snem szarpanym, pierwszy raz trzeźwym, nie mógł wódki, dobrej, z kartką czerwoną, zalakowanej jak trzeba,

do ust wziąć. Zrywał się co kilka minut, do kuchni chodził, wodę z wiadra pił, papierosa palił, na dwór wychodził na księżyc, gwiazdy, które świeciły mocno, mocno patrzył, na obejście patrzył, na kuźnię, gdzie dwa wozy do okucia czekały, do stodoły wszedł, krowę za uszami podrapał, mruknęła tylko sennie, kobyłce kawałek marchwi dał, zarżała tylko i prychnęła chrapami, do chlewa zaszedł, świnię spały, mlaskając tylko przez sen, spały kury, kogut, kaczkę, spał pies, Burek, który poczuł pana, tylko pysk z dziury wysunął, jedno oko otworzył, zawinął się i oczy zamknął. Nie dawało mu spać to, co Święta Panienka powiedziała.

- *In Dominum via tua! Via tua* – powtarzał, chodząc wokół kieratu.
- *Via tua!* – mruczał do gwiazd, otwierając furtkę od warzywnika, gdzie na niedawno przygotowanych grządkach już wzeszła marchew, cebula i inne tam jeszcze, których nie odróżniał, od tego przecież Helkę miał, gdzie wszedł i spacerował po drózkach, paląc papierosa.
- *Via tua!* – powtarzał, słuchając tych słów, dziwnie brzmiących, tajemniczych, ciemnych, ale niosących w sobie jakąś jasność.
- *Via tua* – znów powtórzył w myślach, jakby niedowierzając, że pamięta, że nie uleciały tam, skąd przyszła Najświętsza Panienka.
- *Via tua* – nagle powiedział, tym razem na głos, mocny przecież, baryton, którym w kościele co niedziela trzymał zawodzące baby i pierdzących przez nieliczne zęby mężczyzn w śpiewie, prawdziwym śpiewie, takim Bogu miłym śpiewie, przez co przypomniał sobie niebiańskie brzmienie jej głosu, łagodnego, delikatnego a jednocześnie mocnego, zdecydowanego, głosu zza świata tego, widzialnego, znanego.
- *Via tua* – powiedział raz jeszcze, napawając się słowami, które wisiały nad nim, między niebem a jego głową, strzelały jak fajerwerki z kalichlorku, leciały w górę, czepiały się o blachę dachu, o rynnę, o komin, nie chciały spaść, układały się na ciemnym tle w zgrabne: *In Dominum via tua! Exultate Deo!*, świeciły jak gwiaz-

dy, wreszcie, jak to skry z popielnika przybladły, zniknęły, więc on przestał na nie patrzeć, powtarzał tylko sobie w myślach:

– *Via tua!*

W końcu wyrzucił ostatnią z gwiazd, niedopałek, do gnojownika, otupał gumowce z błota, raz jeszcze popatrzył na kuźnię, jakby żegnał się z nią, ale czemu niby miał się żegnać? Nie, on, on, on... nie pojedzie do miasta, gdzie praca i mieszkania z ciepłą wodą i prądem, nie, on tu urodzony, on tu mieszka, on tu umrze... Spojrzał w górę, gdzie z nieboskłonu spadała ostatnia gwiazda, taka prawdziwa, od Boga, pokręcił głową, strzelił z palców i wrócił do domu, starannie zamykając drzwi.

Płynęły dni, minął jeden miesiąc, drugi, a od Dobrodzieja nie było wieści. Raz czy drugi zapytał, ale ten tylko go ofuknął, że młyny kościelne długo mielą. Podobno to zgłoszenie musi aż sam Papież przeczytać, a to może potrwać, rok, dwa, trzy a może i dłużej, masz czekać – rękę do pocałowania podstawił, kował pokorny pocałunek złożył. Ustawił w końcu ogrodzenie, tak jak mówił, galante, pięknie się prezentowało, szczególnie furtka, z gołąbkim niosącym Najświętsze Ciało Pana Jezusa w dziobie, otoczonym liliami i tulipanami, Dobrodziej poświęcił, jak trzeba. Wtedy właśnie, wobec całej wsi, pod krzyżem tym zgromadzonej powiedział, że pod tym krzyżem objawiła się jemu Najświętsza Panienka, która powiedziała mu, że ludzie dziś na świecie złe, Kościoła Chrystusowego Najświętszego nie szanują, sług Kościoła Chrystusowego nie szanują, pozwalają by one w biedzie i niedostatku żyły, że co tydzień w każdy piątek pod tym krzyżem, gdzie Najświętsza Panienka mu się objawiła będzie odmawiana jedna stacja Drogi Krzyżowej, tak już na zawsze, aż do przebłagania Jej, by na ten świat już złości nie miała, na ludzi złych, niekatolickich, niepobożnych, postów nieprzestrzegających, przykazań nieprzestrzegających, do kościoła niechodzących.

– Obiecała mi Najjaśniejsza Panienka – mówił to głosem wielkim, potężnym przepotężnym, aż w dobre ludzkie dusze nadzieja wielka weszła – że pojawi się znów, gdy tylko trochę lepiej na tym świecie będzie, wtedy – mówił wzrok ku Niebu unosząc i ręce

swe złożone wraz z nim – przyniesie nam *Nuntium Magna*! Najświętsza Panienska nam *Nuntium Magna* przekaże, nie tym ze wsi obok, nie tym w Miasteczku, nie tym w Łomży, Białymstoku czy w Warszawie, dobrzy ludzie! Nam, tu, prostym mieszkańcom wsi naszej, miejsca naszego świętego, *Nuntium Magna* przyniesie.

Stał kowal daleko, przyjść na czas nie zdążył, bo na kosturze się wspierał, ale i dlatego, że wiedział, że Najświętsza Panienska już *Nuntium Magna* przyniosła, jemu przyniosła. To nic, że nic nie mówiła, że wróci i innym *Nuntium Magna* przyniesie, Dobrodziej mądry, od niego stokroć mądrzejszy, on wie, co powiedziała Najświętsza Panienska tam, pod krzyżem, wtedy. Nie mógł im, mieszkańcom, sam tego powiedzieć, póki od samego Papieża *Confirmatum* nie dostanie. Tu we wsi Dobrodziej jest boskim namiestnikiem, ale przecież nawet w Niebie jest hierarchia: Bóg w trzech Osobach jest na górze, niżej są Święci, jeszcze niżej Anioły a na samym spodzie wszyscy, którzy tam się dostali. I wszyscy są nieomylni, ale Bóg w Trójcy Jedyny jest nieomylny najbardziej i zawsze Jego Słowo jest najbardziej nieomylnie i stanowi Prawo dla Praw. Wie więc Dobrodziej co mówi, oj wie, czekać trzeba, z Watykanu list kiedyś przyjdzie...

Nie przyszedł. Czekać trzeba.

- *Via tua* – tłukło się kowalowi po głowie, gdy zniwował, nareszcie rok był dobry, urodzajny, żyto obrodziło i kartofle też, warzywa na Helki grządkach zupełnie oszalały, trzy razy tyle co zwykłego roku ich było.

Groch na polu w nieprzebrane, słodkie strąki obrodził, kury niosły się jak szalone, nasadzała Helka kwoki na jaja, kurczaków na podwórku zatrzęsienie, świnie tłuste, zakłuł rzeźnik jedną, z zazdrością na mięso i słoninę patrzył, ale dostał tylko gotówkę, bo wozy do okucia co dwa, trzy dni przyjeżdżały, roboty było w huk, więc i pieniądze kieszenie mocno wypychały, a mięsa, słoniny, smalcu w gospodarstwie nigdy za dużo. Skarżyła się Helka, że nie wie w co ręce włożyć, to najęli dziewczuchę, piwnice dobrem zastawili, sąsiek zbożem zapelnili, stodołę od siana i słomy ledwo domknąć się dało...

- *Via tua* – wbiegało mu do głowy, gdy lak na butelce z czerwoną kartką odbijał, naciągając rozgrzaną do czerwoności obręcz na koło, porządne koło, z buczyny sezonowanej zrobione i odkładał butelkę, gdy był sam. Gdy nie był – wlewał do szklanek wszystkim, sobie też, lecz gdy inni podnosili je do góry, gdy ruszały im grdyki w marsz w tę i we w tę on udawał, miarkował, odstawiał pełną szklankę tak, by inni nie widzieli lub wylewał, dobrą wódkę, z czerwoną kartką, na ziemię.
- *Via tua* – przestała mu smakować ta wódka, nie mógł jej już pić. Trzeźwy do domu przychodził, Helka w proggu klęczała i po rękach go całowała prosząc: Tylko mi wytrzymaj! Nie pij! Tylko bądź taki zawsze, mój Kuternogo!
- *Via tua!* – tłukło się to po nim jak Marek po piekle.

Leżąc w łóżku, w wykrochmalonej, wymaglowanej pościeli, gdy już załatwił z Helką to, co mąż z żoną pod pierzyną robią, gdy syta i zadowolona Helka zasypiała już, trzymając swoją ciężką zwalistą rękę na jego boku, nasłuchując już jej spokojnego oddechu, w myślach tamtą scenę odtwarzał, tylko on i Najświętsza Panienska. Przecież Ona chciała mu coś powiedzieć, coś pokazywała, *via tua* powtórzyła, cóż to znaczyć mogło? I nocy którejs nagle, jakby grom z jasnego nieba, jakby błyskawica, co runęła kiedyś na klon przy domu stojący, rozpowłowiła go, położyć trzeba było, z Jankiem, najstarszym synem, obecnie uczniem górniczej szkoły go ścięli, szkoda było, ale co zrobić, taka wola boska, zrozumiał: Ona pokazała mu, dokąd udać się powinien! Ona pokazała mu drogę, Ona dała mu plon wszelaki, by rodzinę zabezpieczyć, by głodu, ni chłodu nie cierpiała, Ona wozy do jego kuźni kierowała, by grosza w domu nie zabrakło, jemu inne zadanie wyznaczyła. On miał tam się udać! Ale po co? Niezbadane są wyroki boskie i dyskutować z nimi nie wolno. Trza powiedzieć: *Fiat voluntas tua!*¹ i z pokorą wypełnić.

Nie wtajemniczył nikogo. Plony zabezpieczyli, cała wieś im zazdrościła, ktoś nawet po pijaku wykrzykiwał, że to pewnie jakaś diabelska

¹ Niech się stanie wola Twoja.

sztuczka i trzeba by to wszystko spalić, bo tylko ogniem ogień piekielny zwalczyć można, ale Dobrodziej z ambony takie pomysły ludziom dobrym, katolikom, chrześcijanom wyperswadował, nauczając, że każdego kiedyś w życiu dobre oko Pana Boga dojrzy, każdemu da szansę, trzeba tylko wierzyć, przykazań przestrzegać (Patrzenie, kowal wódki, tej zmory nie pije, do ust od pół roku prawie nie bierze, Pan Bóg to dostrzegł, pochwalił, i Palec Swój nań skierował, dobrobytem obdarzył), do kościoła chodzić, Słowa Bożego słuchać i w życiu stosować, nie zapominać o najuboższych i samotnych oraz o tym co Słowo Boże wam głosi, uczy was, z Bogiem łączy, niesie to Słowo Przepotężne jako *Gaudium Magnum!* On też nie może wiecznie tym samym rozklekotanym autem jeździć, do was jeździć, z Panem Bogiem jeździć, z wiatykiem jeździć, z chorych namaszczeniem jeździć, po kołędzie jeździć. Kościół nowego dachu wymaga, witraży, ambony, ławek, malowania. Dzwonnica się sypie, dzwony nowe by się przydały, tamte małe są, słabo dzwonią. Na plebanii, w wikarego mieszkaniu woda z powały leci, jakże to tak? Na to wszystko pieniądze są potrzebne – zrozumieli ludzie prości, grosza wysupłali.

Nie przyszedł. Czekać trzeba.

Nie przyszedł. Trzeba czekać.

Nie przyszedł. Trzeba.

Nie przyszedł.

Nie.

NIE.

Nie.

Minęła zima, po raz pierwszy od lat w dostatku i dobrobycie. Ktoś obejrzał ogrodzenie wokół krzyża, do miasteczka pojechał, po kilku dniach pierwsi się pojawili, że oni też takie chcą, że zapłacą, dużo zapłacą i pieniądze do ręki wciskali. Zrobił kowal jedno, drugie, trzecie, to nagle ich dziesięciu przyjechało, jeden przez drugiego licytując się, ile to zapłacą, byle zrobił. Byle na wiosnę można było postawić.

Małą się kuźnia zrobiła, pomocników już dwóch miał, nie było miejsca, rozbudować trzeba. Z miasteczka cement i cegły przyjechały,

ludzi do murarki najął, dobrze zapłacił, ci dziurę pod fundament wykopali, ale nagle któryś krzyknął, że przecież piasku nie ma, żwiru.

- Jak to nie ma, jak jest? Przywieźć tylko trzeba, ze żwirowni!
- A gdzie ona?
- Na końcu wsi, drogą na wprost.
- Gospodarzu, nam dostarczyć trzeba, jedźcie, przywieźcie, furę potrzeba albo i dwie, my co innego w tym czasie zrobimy.

Zaprzął konie do furmanki, miał już dwa, zaciął batem, ruszyły kłusem, po chwili już pod ścianą w żwirowni byli. Ale przed załadunkiem pod krzyż poszedł, Najświętszej Paniencie podziękować, za dobrobyt podziękować, ona tam była. Wisiała, na wysokości belki krzyża stopy Jej Święte były, patrzyła na niego, z miłością a jednocześnie i z pewnym wyrzutem i tylko:

- *In Dominum via tua! Exultate Deo!* – prawie niesłyszalnie wyszeptała.
- Daj mi jakiś znak, o Przenajświętsza – odważył się, poprosił, mimo że w ustach mu zaschło a słowa przez gardło przejść nie chciały – od roku prawie codziennie o to pytam, wszystkich pytam, Dobrodzieja, Papieża, Ciebie, w myślach pytam, w głos pytam, a tu nic, żadnej odpowiedzi.
- *Via tua!* – wskazała na drogę na pola, gdzie na jego zagonie pysznił się już świeżą zielenią mocny, dorodny jęczmień – *via tua!* – podkreśliła raz jeszcze i złożonymi do modlitwy rękoma pokazała mu tamten kierunek, machnąwszy rękoma dwa czy trzy razy, nie mógł się już pomylić, nie mógł powiedzieć, że nie rozumie. Skinął tylko głową.
- *Via tua!* – powtórzyła z leciutkim, prawie niewyczuwalnym zniecierpliwieniem i rozplynęła się w powietrzu, on poczuł tylko piękny, delikatny zapach, jak w kościele, drzewa sandałowego i olejku różanego.

Załadował jeden wóz żwiru, dobrego żwiru, na arfie pięknie go od piasku oddzielili, gliny tam nie było nic a nic, przywiózł drugi wóz, trzeci, czwarty, a nawet i piąty. Urosła kupa żółtego, pachnącego sosnami kruszywa, najmłodszy, Mietek, szufelkę wziął i kopać w nim zaczął, on popatrzył tylko na obejście, na budującą się kuźnię, na warzywnik, gdzie od zieleni aż w oczy biło, na Helkę, niosącą z kurnika na przetaku dwanaście wielkich jajek, na wymienioną blachę na dachu, na strych podciekać już nie będzie, na łoże ich małżeńskie również, żal mu się zrobiło, ciężko na duszy, polubił swoje życie, takie jak teraz, tu, na tej wsi, ale decyzję podjął. Nie, on jej nie podjął, za niego ją podjęto, w zasadzie, on ją tylko w życie miał wcielić!